

# PIŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 • TOM 1 • NR. 18

WARSZAWA, 13 STYCZNIA 1936 ROKU



A B I S Y N K I



# Czarni i biali bracia



Tutaj deszcze jesieni  
i zimy, okute lodem,  
do chłodnej, ubogiej ziemi  
nie dadzą murzynom podejść.  
Tu nie na pustyni granicach,  
ale wśród borów i łąk,  
zniszczyłaby czarnych gruzlica,  
i chłód, i wilgoć wkrąg.

Ale te piaski i skały,  
tę skąpą ziemię północną  
trudem swym człowiek biały  
objął, ukochał mocno.  
I nie zdobyte bojem,  
lecz pracą ciężką, krwawą —  
ma biały człowiek swoje  
do swojej ziemi prawo.

Tam, gdzie w upalnych blaskach  
suchego, skwarne nieba,  
w dżungli i w pustyni piaskach  
negrzy szernieli na heban —  
białym, na szabel ostrzach  
niosącym przemoc i rząd,  
w twarz patrzy śmierć najprostszą:  
pragnienie, malarja, trąd.

Ale tę groźną ziemię  
od wieków niepamiętnych  
podbiło czarne plemię  
w biedzie i w trudzie skrzętnym.  
I nie zdobyte bojem,  
lecz pracą ciężką, krwawą —  
ma czarny człowiek swoje  
do swojej ziemi prawo.

Może już bliskie czasy,  
że złe się w dobre zmieni,  
że ludzi innej rasy,  
dzieci tej samej ziemi  
nie będzie dzielił bagnet,  
ni mróz, ni wiatr, ni ogień;  
nikt łupów nie zapragnie  
i nikt nie będzie wrogiem.

Bo wspólna ludzka siła  
granice skreśla, skraca:  
jest nią i zawsze była  
miłość, prawda i praca.  
Europa, czy Afryka —  
czarny, czy biały człowiek —  
jedno ma prawo do życia  
i serce jednakowe.

Ed. Szymański

## ABISYNJA I ABISYŃCZYCY

Abisynja jest to osobliwy i niezmiernie ciekawy kraj pod względem klimatu i przyrody a zwłaszcza pod względem zaludnienia.

Wyberzmy się do tego „kraju wolnych”. Tak nazywali Abisyńczycy swoją ojczyznę jeszcze w starożytności.

Niech każda z czytelniczek lub czytelników Płomyka rozejrzy się w załączonej mapce i wykreśli drogę do Abisynji.

Najdogodniejszą podróż możnaby odbyć, jadąc z Warszawy do portu włoskiego Triestu, leżącego nad morzem Adrjatyckim. Tu wsiadamy na duży okręt i przez Adrjatyk, potem przez morze Śródziemne wpływamy do Kanału Sueskiego. Stamtąd przez morze Czerwone (czy pamiętacie je z Historji Starożytności?) wzdłuż brzegów Egiptu i włoskiej Erytrei, przepływamy cieśninę Babelmandebską, znajdzie-



A K S U M

my się w zatoce Adeńskiej i zawiniemy do francuskiego portu Dżibuti. Stąd jedyną koleją, jaką posiada Abisynja możemy dojechać do stolicy państwa abisyńskiego, Addis-Abeby.

Odległość linii kolejowej od Dżibuti do Addis-Abeby wynosi 783 km., z czego 90 km. na terytorjum francuskiego Somali.

Legendy abisyńskie głoszą, że pań-



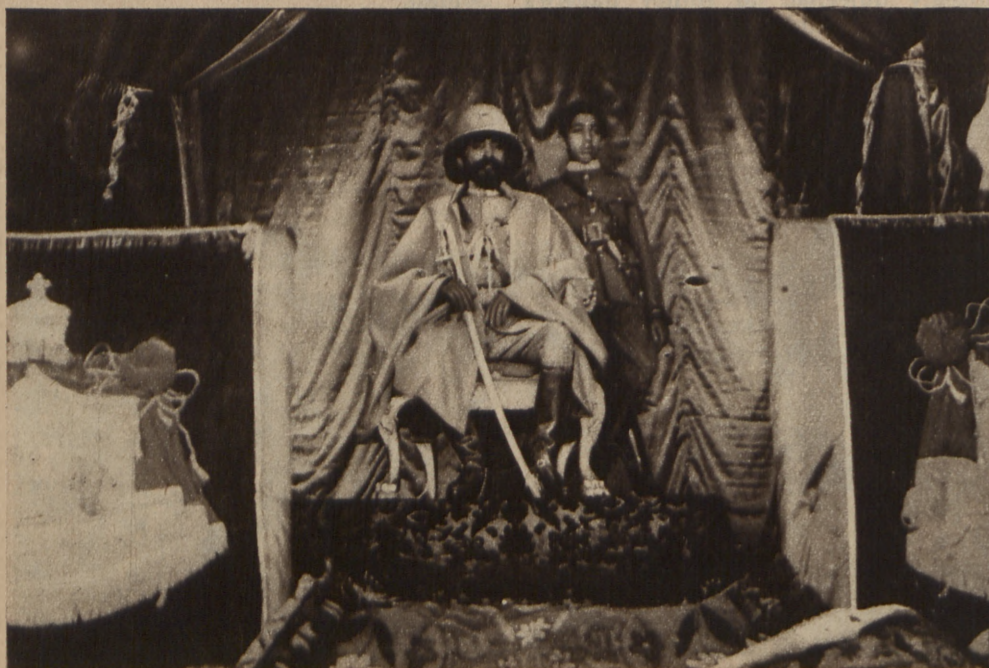
W ADDIS-ABEBIE



MAPA ABISYNYJI

stwo abisyńskie zostało założone zaraz po potopie przez prawnuka Noego, Aitioposa. Stąd Abisynja posiada drugą nazwę — Etyopja. Tenże prawnuk Noego miał założyć święte miasto, Aksum,

które dawniej było stolicą całego państwa abisyńskiego. Zgodnie z legendami abisyńskimi, potwierdzonemi zresztą przez Historję Starożytności, królowa świętego miasta Aksum, Saba, udała się w odwiedziny do Jerozolimy do króla Salomona. Olśniona mądrością wielkiego króla żydów zakochała się w nim i doprowadziła do małżeństwa. Ze związku tego urodził się syn Menelik. Interesy państwa zmusiły królową Sabę do powrotu do Abisynji; zaś mały Menelik wychowywał się w Jerozolimie na dworze swego ojca, króla Salomona. Jak głosi legenda, Menelik porwał Arkę Przymierza wraz z tablicami dziesięciorga przykazań i uciekł do Aksum, do matki. Tutaj



NEGUS Z SYNEM



BISKUP KOPTYJSKI

wstąpił na tron i stał się założycielem panującej po dzień dzisiejszy dynastji królewskiej w Abisynji.

Stało się to na tysiąc prawie lat przed narodzeniem Chrystusa.

Trzeba przyznać, że Abisynja jest jednym z najstarszych państw na kuli ziemskiej.

Pod wpływem Menelika, syna Salomonowego, Abisyńczycy przyjęli religję możeszową, a w roku 340 naszej ery, czyli na sześć wieków wcześniej niż Polska, przyjęli chrześcijaństwo.

Abisynja jest krajem o starej swoistej kulturze. Jest to wyspa chrześcijaństwa na morzu mahometan i pogan, wyspa, zapomniana w ciągu tysiąca lat przez chrześcijańską Europę. Dopiero w roku 1490 król Abisynji, Dawid III nawiązuje stosunki z Portugalją. Zmusiło go do tego kroku niebezpieczeństwo, zagrażające chrześcijańskiemu państwu ze strony muzułmańskich sąsiadów, ogniem i mieczem nawracających niewiernych na mahometanizm. Kiedy Abisynja przy pomocy Portugalczków odparła wrogich muzułmanów,

to nowi przyjaciele portugalscy zażądali za swą pomoc zbyt wielkiej zapłaty. Mianowicie Portugalczycy usiłowali zawładnąć Abisynją. Zakusy te Abisynja odparła z bronią w rękę.

Od tego momentu powtarzają się wysiłki różnych potęg europejskich w celu zawładnięcia Abisynją.

Ostatnia próba Włoch podbicia Abisynji w roku 1896-ym skończyła się straszliwą klęską wojsk włoskich pod miastem Adua. Na placu boju padło 10.000 zabitych i rannych Włochów, 7.000 wzięto do niewoli.

Jak widzimy, dotąd Etjopja, czyli Abisynja, państwo o nieprzebranych bogactwach, potrafiło ochronić swą niepodległość przed potężnymi sąsiadami z Europy.

Abisynja jest jedynym istotnie niezależnym krajem na lądzie Afryki.

Niepodległość swą Abisynja zawdzięcza przedewszystkiem położeniu geograficznemu i budowie terenu, co uczyniło z niej jakgdyby twierdzę nie do zdobycia.



#### NASTĘPCA TRONU Z NAUCZYCIELEM

Abisynja, jak widzimy z mapy, leży we wschodniej Afryce, niedaleko równika. Naturalnymi granicami Abisynji są brzegi Morza Czerwonego, zatoki Adeńskiej i Oceanu Indyjskiego.

Od tych naturalnych granic odcinają współczesną Abisynję kolonie europejskie. Poczynając od północy idzie wąski pas włoskiej Erytrei, potem małe półkoliste Francuskie Somali; wzdłuż Zatoki Adeńskiej — Somali Angielskie; wreszcie od brzegów Oceanu Indyjskiego odcina Abisynję Somali Włoskie.

Na zachodzie Abisynja graniczy z angielsko-egipskim Sudanem.

Powierzchnia Abisynji wynosi 1.120 tys. km kwadr. Powierzchnia Polski 388.000 km<sup>2</sup>, a Włoch tylko 310.000. Jak widzimy na mapce dodatkowej, Włochy zajmują mniej niż trzecią część powierzchni Abisynji.

Tak wielki kraj zamieszkuje zaledwie 12.000.000 mieszkańców, w czym trzy i pół miliona właściwych Abisynczyków, którzy należą do rasy białej (chamici) o barwie skóry jasno-czekoladowej. Reszta mieszkańców Abisynji,

to przeważnie różne plemiona murzyńskie, podbite przez Abisynczyków.

Gęstość zaludnienia Abisynji jest bardzo mała. Na kilometr kwadratowy wypada w Abisynji 6 mieszkańców, w Polsce — 86, a we Włoszech aż 135.

Arabowie nadali Abisynji nazwę: Habeasz. Oznacza to rozmaitość, mieszaninę. Arabowie chcieli podkreślić w ten sposób przedziwną mieszaninę ras i języków Abisynji. Mówią tam 70 językami. Urzędowym językiem jest amharyjski — mieszanina arabskiego i hebrajskiego. Religją panującą jest wyznaczenie chrześcijańsko-koptyjskie. Prócz tego jest około 3.000.000 mahometan. Reszta ludności — poganie.

Chrześcijaństwo Abisynczyków, odciętych przez wieki od innych chrześcijańskich krajów, jest dość dziwne. Pomieszano tu zasady chrześcijańskie z zasadami religii mahometańskiej (wieloleźstwo, niewolnictwo) i religii żydowskiej (przepisy co do potraw rytualnych, święcenie soboty i t. p.). Głową kościoła chrześcijańskiego jest osobny patriarcha, zwany Abuna.

Abisyńczycy są bitnym i walecznym narodem, zajmującym się rolnictwem. Uprawiają rolę nie tylko motyką, jak to czyni większość Afryki, ale i pługiem.

Uprawiają drzewa owocowe, proso, banany, bawełnę i kawę, której Abisynja jest ojczyzną.

Abisyńczyk jest pomimo tyłowiekowego trwania chrześcijaństwa bardzo zabobonny. Wierzy on w dobre i złe duchy, boi się „uroków”. Chroni się przed złemi wpływami, jak umie: obok krzyża nosi na szyi różne amulety (woreczki z tartem mięsem hieny, kawałki papieru z zapisanymi zaklęciami, szpony ptasie i t. p.).

Czy to nie przypomina nam zabobonów w niektórych ciemnych i zaniedbanych wsiach polskich?

Abisynja jest naogół krajem górzystym. Przeciętne wzniesienie dochodzi do 2.000 metrów nad poziom morza. Najwyższy szczyt, jak np. Ras-Daszan osiąga wysokość 4.600 metrów, co równa się wysokości Mont-Blanc, najwyższej góry w europejskich Alpach.

Góry abisyńskie mają ciekawy kształt — tak zw. stołowy: szczyty ich

są ścięte płasko. Na tych szczytach mieści się większość osiedli abisyńskich.

Abisynja jest krajem bogatym w minerały, jak rudy złota, platyny, miedzi, żelaza i in. Złoto wydobywano w Abisynji już za czasów króla Salomona. Abisynja posiada i naftę: to jest jedna z przyczyn obecnej wojny włosko-abisyńskiej.

Klimat kraju jest różnorodny. Na płaskowyżu 2.000 metrów nad poziomem morza panuje wieczna wiosna; w nizinach prawdziwe piekło afrykańskie (upał dochodzi do 55 stopni C.); w takiej temperaturze Europejczyk z trudem oddycha.

Świat zwierzęcy Abisynji jest bardzo bogaty. Z drapieżców królują tu lew i lampart, oraz żyjące padliną hiena i szakal.

Na skraju lasów napotkać można słońca afrykańskiego i olbrzymiego nosorożca; w rzekach i jeziorach dziwaczne hipopotamy i krokodyle. Spośród małp najczęściej spotyka się pawiana, którego ojczyzną jest Abisynja...

Ale już dojeżdżamy do Addis-Abeby. Stacja zbudowana przez Francuzów nosi charakter zupełnie europejski.



ARTYLERJA PRZECIWLOTNICZA



#### DZIECI ABISYŃSKIE W DNIACH WOJNY

Samo miasto liczy około 100.000 mieszkańców i posiada kilka ulic o europejskim wyglądzie. Reszta miasta, to olbrzymia wieś, złożona z glinianych domków o dachach z chróstu, ukrytych w gajach eukaliptusowych i ogrodach.

Po wyjściu ze stacji idziemy z wizytą do panującego.

Abisynja jest monarchją absolutną. Obecnie panuje Haile Selassie I. Król Królów, Cesarz Abisynji i t. d. Posiada on władzę nieograniczoną, rządzi przy pomocy doradczego sejmu i odpowiedzialnych przed nim ministrów.

Przedstawicielstwo narodowe składa się z senatu, gdzie zasiada 56 mianowanych senatorów, z sejmu, gdzie zasiada 56 posłów, mianowanych przez

„rasów”. Ras jest to wielkorządca poszczególnej prowincji, mianowany przez cesarza.

Oprócz stolicy jest jeszcze kilka większych miast, jak Harrar — 40.000 ludności, Dire-Dana — 30.000 mieszkańców, prócz tego historyczne miasto Aksum — 4.000 miesz., Adua — 6.000 mieszkańców.

Abisynja nie ma prawie wcale dróg w znaczeniu europejskim.

Z innych urządzeń posiada 16 urzędów pocztowych, kilka tysięcy kilometrów linii telegraficznej i 2.000 km linii telefonicznej.

W Abisynji wychodzi pięć gazet, w czym 2 w języku miejscowym.

W. S.





# JAK MAGHURU JECHAŁ DO BIAŁYCH PO JASNY ROZUM

Było to w Afryce, w Kongo Francuskim, nad rzeką Mbomu, gdzie nasza Kompanja posiadała liczne plantacje bawełny i gdzie spędziłem cały rok wśród czarnych, jako kierownik jednej z takich plantacyj.

Którego dnia, siadając do śniadania, usłyszałem pod werandą jakieś chrząkanie.

— Co to za hałas? Naoki, co to jest?

Naoki, mały murzynek ze wsi Onogonda, przeznaczony do mojej osobistej posługi, wyrócił przeraźliwie białkami oczu.

Na dworze zawzięcie szeptano. Czasem wystrzelił piskliwy śmiech, stłumiony kuksańcem i cichutkim jękiem uderzonego.

— Nie wiesz kto tam jest?

— Ah, mosju, dużo ludzi być!

— A nie powiedzieli ci, Naoki, czego chcą?

— O, oni mieć do ciebie wielką sprawę, oni przyjść po radę, mosju — odrzekł Naoki.

Często się zdarzało, że murzyni, nie mogąc rozsądzić jakiejś sprawy, udawali się po radę do białego człowieka, ufni, że jego biały rozum wypatrzy najlepsze rozwiązanie. Naoki podał mi kask korkowy i z miną pełną godności i powagi wyszedłem na werandę.

— Siadajcie, ludzie, — rzekłem, przysuwając sobie leżak.

Murzyni rozsiedli się wiankiem na piasku i z uszanowaniem drapiąc się po płaskich nosach, gapili się na mnie z nieukrywaną ciekawością, choć od dwóch miesięcy widywali mnie prawie codziennie.

Na samym przodzie siedział sam wódz Miambi. Za nim, wstydliwie się kryjąc, kucnął jego syn Maghuru, słynny na całą okolicę z umiejętności czytania i pisania, z prawej zaś strony wodza rozsiadł się Nikolé, najbogatszy handlarz z wioski, sprzedający wszystko co potrzebne, a głównie to, czego nikt nie potrzebuje, po niebywale wysokich cenach. Z lewej strony przysiadł jak z łaski, najgodniejszy z nas wszystkich, miejscowy

czarownik i cudotwórca, stary oszust Kassoro. Styłu zasiadło sześciu braci wodza, o imionach trudnych do spamiętania i kilku mniej znacznych wojowników Onogonda.

Rozmowa toczyła się w łamanym języku francuskim, gdyż wówczas nie znałem jeszcze miejscowego języka ki-kongo.

— My przyjść do ciebie, moaje, z wielką prośbą — zagał wódz, spojrzawszy na bogacza Nikole.

— Mówcie, o co chodzi? — rzekłem uprzejmie.

— My przyjść do ciebie o dobra rada, dlatego też my tobie ofiarować kosztowne prezenty.

— O, naprawdę? — zdziwiłem się mile.

— Naprawdę, mosje. Maghuru, przynieść prezenty.

Maghuru wstał i wstydliwie uśmiechnięty wyciągnął z krzaków dwa chude, wyskubane kurczaki, więc przejrzałych, aż nadgniłych bananów i na dodatek fajkę.





— Oto prezenty, musju — wyjaśnił Maghuru, składając mi te bezcenne dary u stóp.

Co miałem zrobić z darami? Kur miałem dosyć, a bananów cały gaj należał do plantacji. Najmniej paliłem się do cuchnącej fajki, choć była ładnie rzeźbiona. Jednak nie mogłem odrzucić prezentów, aby nie obrazić śmiertelnie przychylnych mi dotąd murzynów. Spojrzałem na żaloseną, a śmiesznie pomarszczoną twarz czarownika i skinąłem na ręką.

— Weź Kassoro te dary i ofiaruj wielkiemu Bantu-Uli, bo ja ich niegodny.

Murzyni spojrzeli na mnie z podziwem i uznaniem, a Kassoro aż stęknął z radości.

— Dzięki ci mosje, dzięki! — gdał rozczulony, chwytając skwapliwie kury, banany i fajkę. — Jakby co, to ty iść zawsze do Kassoro, on ci chętnie pomoć.

Murzyni patrzyli na mnie wyczekującym i łakomym wzrokiem. Według tu-

tejszych zwyczajów, powinienem się był odwdzięczyć za dary hojnym poczęstunkiem lub eleganckimi prezentami, lecz ja złośliwie odłożyłem tę chwilę na później i uprzejmie pytałem:

— Więc mówcie, przyjaciele, jaką macie sprawę?

Negrzy spojrzeli po sobie z wyraźnym zawodem i zakłopotaniem. Co za źle wychowany biały — pomyśleli na pewno — nie umie się poznać na grzeczności!

— Mów, Miambi! — przyparłem ociągającego się wodza.

— To być tak, mosje. Mój chłopak Maghuru, ten co tutaj siedzieć... podobać sobie Aike, córka Nikolé.

— Cóż więc z tą Aike, córką Nikolé? — zapytałem.

— I on, Maghuru miał się żenić, a teraz nie chce wziąć ją za żona! — zawołał popędliwie zawiedziony ojciec.

— A on, Nikolé, chceć dwie krowy i trzysta franki! — gorączkował się wódz.

— A skąd ja wziąć dwie krowy i trzysta franki? Skąd ja raptem je wytrząsnąć?

— Ale on, Maghuru móc dać sześć krowy i tysiąc franki za Aike, która być moja córka, jeżeliby on, Maghuru wziąć ją za żona, wówczas to on móc je wytrząsnąć.

— Ale on, Maghuru jej nie wziąć, więc zaco płacić? Przecież jej nie ukąsić ani kawalek!

Spór się zaostrzał. Błyskając z zawziętością oczami, murzyni gwałtownie machali rękami, wyrzucając gardłowym głosem potoki namiętnych słów, aż wreszcie znudzony, ująłem sprawę w swoje ręce.

— Cicho tam, ludzie! Miambi, wodzu, powiedz mi, dlaczego Maghuru nie chce wziąć za żonę Aike, córkę Nikolé?

— Bo on wyjeżdżać do Europa, do Francja. On jechać do miasta białych ludzi i potem wrócić i mieć w głowie jasno.

— A kto go do tego namówił? Czy nie chce ożenić się z Aike, córką Nikolé i dlatego chce wyjechać?

— Nie, mosje, to długa historia. Może pięć, a może sześć dni z powrotem...



weszać mnie do Omburu żandarm, do samego pisarza mosje naczelnika. I mosje pisarz powiedzieć Miambi, że teraz wyjść nowe prawo, że każda wieś może mieć czarnego mera. Ale ten czarny człowiek co móc być merem, musi mieć w głowie jasno. I on musi być mądry jak biały i pojechać na kurs administracji do Francji.

— Ależ to kosztowna podróż! —

— Bardzo kosztowna, mosje! Ale Francja dawać podróż darmo tym, co chcą mieć w głowa jasno, jak u białego. I sam mosje pisarz pytać czy być w moja wioska taki murzyn, co już mieć w głowa troszkę jasno. I ja powiedzieć: mój syn Maghuru, ten, co tutaj siedzieć.

— A co być z Aike, która być moja córka? — zapytał zgryźliwie Nikolé. — Ty, Miambi, lepiej płacić zaraz dwie krowy i trzysta franki, bo jak mosje powie ty płacić więcej, to co ty zrobić?

Miambi spojrział niespokojnie na mnie, a widząc mój uśmiech, rzekł ufnie:

— Nie, biały mosje tego nie powiedzieć.

— Nie, nie powiedzieć! — potrząsnęli głowami bracia. — Mosje jest sprawiedliwy.

— A ty, Maghuru co wolisz? Ożenić się z Aike, córką Nikolé, czyż jechać do Francji?

Maghuru spuścił nisko głowę i wyszeptał nieśmiało:

— Jaby woleć do Francji, musju.

— A dlaczego?

— Ah, musju! Nam, czarnym ludziom, być bardzo źle. My być głupi i ciemny. My nie umieć nic a nic. Maghuru chce pojechać do Francji, nauczyć się dużo dobrych i mądrych rzeczy, a potem przyjechać i zrobić, żeby czarny człowiek też być mądry, żeby nie był oszukany przez Francuza.

Maghuru mówiąc, stopniowo zapalał się i wyczuwało się w nim przyszłego pioniera cywilizacji. Temu człowiekowi należało dopomóc.

Wypytawszy wodza jeszcze o kilka szczegółów, dotyczących umowy o Aike, całą sprawę miałem jasno, jak na dłoni. Przymknąłem oczy i udałem głęboki namysł, gdyż nic tak nie zraża murzyna, jak pośpiech w rozpatrywaniu choćby najbłaższych spraw.

Wreszcie otworzyłem oczy i wydałem salomonowy wyrok.

— Ponieważ Maghuru, ten co tu siedzi, syn wodza Miambi, chce wyjechać do Francji pracować i mieć jasno w głowie, dla dobra całej wioski, uważam, że powinien być zwolniony z obowiązku małżeństwa z Aike, córką Nikolé, bo Nikolé pragnie nie dobra całej wioski, ale dobra swojego majątku, który i tak jest wielki. Pozatem uważam, że Miambi nie powinien płacić Nikolé żadnego odszkodowania, bo jego córce Aike nic się nie stało, a tak piękna panna zawsze znajdzie męża.

— Ja być niezadowolony, ogromnie dużo niezadowolony! Ja udać się do rada starszych! Ja podać skarga do gubernator i ty nie pojechać Maghuru do białych! — złościł się chytry kupiec.

— Tak zrobisz, Nikolé? To ja zaraz porozmawiam z gubernatorem i powiem, że Nikolé oszukuje wszystkich i sprzedaje zepsuty towar, a miara u niego jest fałszywa. Pamiętaj jaką mąkę sprzedałeś moim ludziom? Nie chcą jej wcale jeść.

— Ona być dobra, i miara też być

dobra. Ty możesz mówić z gubernatorem, ja się nie bać. Gubernator być za daleko.

— Ja z gubernatorem porozmawiam przez telegraf i powiem mu, że ty, Nikolé, jesteś stary oszust i szachraj.

— Ja nie oszukiwać, ja być rzetelny kupiec. Gubernator nic mi nie zrobić — stawał się hardo Nikolé.

— Taak? Zaraz zobaczymy — i podszedłszy do okna wyciągnąłem aparat radijowy z wielkim głośnikiem.

Niejednokrotnie słyszeli murzyni przemowy i koncerty radijowe wychodzące z głośnika, lecz nie zdawali sobie sprawy, jakim to się cudem dzieje i byli przekonani, że wystarczy mówić do głośnika, a tam gdzieś, osoba zainteresowana usłyszy każde słóweczko.

Zapukałem palcem w aparat i zawołałem do tuby głośnika.

— Hallo! Hallo! Pan gubernator? Dzieńdobry panu gubernatorowi!

— Zatrzymaj się, mosje! Już dobrze,

ja nie chcę krowa ani franki, tylko nie mów nie mosje gubernatorowi! — zaszeptał mi w ucho przestraszony Nikolé.

— I nie będziesz się skarżył na Maghuru?

— Nie, nie, mosje! — odrzekł cichym głosem Nikolé, drapiąc się po boku jak małpa.

— No, pamiętaj! — odszepnąłem, grożąc mu palcem, poczem znów krzyknąłem w aparat:

— Hallo! Hallo! Panie gubernatorze! Jak zdrowie pana gubernatora?... Dziękuję, ja też jestem zdrowy!... U nas w Onogonda wszystko w porządku, Nikolé to bardzo porządny i uczciwy kupiec. Uszanowanie panu gubernatorowi, dowidzenia! — i z trzaskiem zamknąłem aparat.

— No, Nikolé, zrobiłem z ciebie porządnego człowieka, bacz, żebym jutro nie potrzebował z gubernatorem jeszcze raz o tobie rozmawiać!

— Nie, nie! — zarzekał się Nikolé. — Teraz, kiedy sam mosje gubernator wiedzieć, że ja porządny i uczciwy kupiec, to ja naprawdę uczciwie handlować. Ale co ja zrobić z Aike, moja córka? — zasnuł się nagle.

Niespodzianie podszedł do niego Maghuru i położył mu rękę na ramieniu.

— Jak ja wrócić z Europa to ja się z nią ożenić, bo Aike to miła i dobra dziewczyna, chociaż ojciec być gałgan.

— On, Maghuru z nią się ożenić! — wrzasnęli zdumieni murzyni.

— Więc pocóżecie tu przyszli, co? — udałem gniew. — Trzeba było wesele odłożyć, aż Maghuru wróci z Europy i obyłoby się bez mojej rady.

— Przecież ciebie mosje to nic nie kosztować, bo ty i tak nie dać nam żadne prezenty — rzekł wódz Miambi, chytrze mrugając lewym okiem.

— Żadne prezenty, nic a nic — ubolewali jego bracia, smutnie potrząsając głowami.

To ich najwięcej bolało! Zawołałem więc małego Naoki i po chwili każdy murzyn kopcił olbrzymie śmierzące cygaro i z gustem smoktał kubek wina, kwaśnego, jak ocet siedmiu złodziei.

W jakieś sześć tygodni po wyjeździe





serońka

Maghuru na kurs administracji kolonialnej do Europy, przyszedł, tak jak było umówione, list z jego pierwszymi przeżyciami.

Zwołałem więc całą wioskę na swoje podwórko i głośno odczytałem sążnistą epistolę, nagryzmołoną śmieszoną gwarą francusko-murzyńską. List brzmiał:

„Kochany biały Panie i wy czarni ludzie z wioski mojego ojca Miambi.

Przyjechałem! Cały i zdrow, choć okręt na morzu kiwał się ogromnie za dużo. Tam i nazad, a także na boki. Jak tylko my przyjść do miasta białych w Afryka, do Libreville, to ja się dziwić i dziwić i głowa moja być wielka jak księżyc, a może i większa. Domy, pałace, nie z drzewa i liści, ale z kamienia i wszystkie stać równo pod rząd. U Francuzów psy lepiej mieszkać niż czarni ludzie. A dlaczego tak być? Bo my, czarni ludzie być leniwy jak małpa. Jak jeden czarny mieć placek z manioku, albo z kukurydzy i jeszcze parę banany, to on nic nie robić, bo poco, kiedy on mieć co jeść. A jutro? A biały człowiek robić całkiem inaczej. Chociaż on mieć co jeść na całe życie, jeszcze robić i pracować bez końca. Ale on mówić: To dla moje dzieci i wnuki ja robić. I on pracować rękami? Nie, on pracować głową! Bo być mądry i dużo się uczyć. A w Li-

breville czarni ludzie uczyć się od białych i pracować lekko. Toteż ja widzieć, że każdy czarny mieć spodnie, albo koszula, a my co? A są tacy, co nawet mieć kapelusz, jak biały mosje w Onogonda. W tem Libreville ja dostać ubranie! I spodnie, i zakiet, i nawet dwie koszule, i czapkę. A potem my wsiąść na okręt. My wszyscy płynąć, płynąć i płynąć bez końca, a potem my przyjechać do jednego miasta we Francji. Marsylja się nazywać to miasto do którego my przyjechać. Ja, Maghuru i jeszcze wiele czarnych ludzi, co też jechać po rozum i nauki. A teraz ja już nie móc dalej pisać i papier się kończyć, a moja głowa huczyć i szumieć zadużo.

To wszystko pisać Maghuru, syn wodzina Miambi, syna' Maitu”.

A u dołu dopisek. „Jutro my zaczynać nauka”.

— I więcej nic nie być? — zapytał nienasycony Miambi.

— Niema nic, to już koniec — odrzekłem, wywracając kartki na wszystkie strony.

— To jeszcze raz przeczytaj, mosje, jeszcze raz!

Cóż robić, musiałem przeczytać po raz drugi, a potem trzeci i czwarty.

I odtąd wszystkie listy Maghuru czytywałem codziennie po kilka razy, toteż

ogromnie się ucieszyłem, gdy po trzech miesiącach wrócił Maghuru mianowany już burmistrzem i ożenił się z Aike, córką Nikolé, który cieszył się najwięcej,

gdyż otrzymał nareszcie owe upragnione krowy i tysiąc franków posagu, jaki w Afryce pan młody płaci ojcu narzeczonej.

*Stanisław R. Hennig*

## NA WIELBŁADZIE PRZEZ SAHARĘ

W przeddzień wymarszu karawany, którą chciałem przejść z Tozeur (płd. Tunis) do Tugurtu, leżącego już na terytorjum Algeru, zarządziłem przegląd całości ekwipunku.

Dla odbycia tej dwutygodniowej podróży przez Saharę, wynająłem 6 wielbłądów, 4 ludzi oraz dwa namioty. Załogę stanowili: przewodnik El Haszmi Amor Achmed, dwóch jego pomocników-beduinów, oraz murzyn Ali Kadi, który miał pełnić obowiązki mego ordynansa i popychadła do wszystkiego.

Ponieważ szósty wielbłąd prawie nie miał ładunku, zgodziłem się na zabranie piętnastoletniej beduinki Ellama, która chciała powrócić do Algerji, do krewnych. Najsympatyczniejsi ze wszy-

stkich wydali mi się odrazu Ali Kadi i Ellama, która miała na postojach masować mi niedawno złamaną rękę. Przewodnik El Haszmi nie wzbudzał zaufania, gdyż łąał jak prawdziwy Arab. Po dokładnem omówieniu, gdzie mamy poić wielbłądy, a gdzie zaopatrywać się w wodę, wyznaczyłem na następny dzień zrana odmarsz.

Rano, na miejscu zbiórki zastałem jedynie płaczącą Ellama, zaś w godzinę później zjawił się Ali Kadi mocno niewyspany. Reszta załogi stawiała się z opóźnieniem. Po przytoczeniu moich rzeczy na wielbłądy oraz zajęciu miejsc w siodłach, nakazałem odmarsz. Przewodnik El Haszmi zapytał czy mam duży zapas papierosów.



K A R A W A N A



## W P U S T Y N I

Z oazy nie mogliśmy się wydostać na pustynię, gdyż co parę minut trzeba było zatrzymywać karawanę celem poprawienia przytroczonego ekwipunku i łapania małego wielbłądka-córeczki, która wciąż zawracała do oazy. Po godzinie marszu byliśmy już na właściwej Saharze.

Przodownikiem karawany był El Haszmi, za nim ja jechałem obok Ali Kadi, na końcu dwaj młodzi beduinowie z Ellamą. Przez pierwszą część dnia jechaliśmy wolno, w milczeniu i każdy palił własne papierosy. Tylko mała „córeczka wielbłądzia” biegała wciąż od końca do przodu karawany, bawiąc nas wszystkich. Nazwaliśmy ją „małą panterką”.

Po kilku godzinach huśtawki na wielbłądzie miałem dość wszystkiego, t. zn. monotonnej Sahary, kasku na głowie, piasku w ustach i oczywiście piekielnie twardego siodła. Kazałem zatrzymać wielbłąda aby poprawić siedzenie. Ale mało zatrzymać wielbłąda, trzeba go namówić aby zechciał usiąść na brzuchu. Tego tym razem nie potrafiłem. Długo warczałem nad uchem wielbłąda, ale bez skutku. Dopiero El Haszmi przyszedł mi z pomocą. Przelądowaliśmy wszystkie wielbłądy. Nawet „mała panterka” dostała lekki ładunek

drzewa, z czym było jej nawet do twarzy, a raczej do bioder. Wobec straty czasu zarządziłem nocleg w najbliższej oazie, do której pozostało do 3 — 4 godzin marszu.

Gdy zbliżyliśmy się do oazy Nefta, zostałem otoczony przez tubylcze dzieci, które wołały „bonjour”, wyciągając przytem rączki. Zatrzymaliśmy karawanę na rynku wśród zebranych gapiów, poczem udaliśmy się na skraj oazy celem wyszukania miejsca na obóz. Po wybraniu zacisznego kąta nad potokiem, kazałem przyprowadzić wielbłądy. Wraz z Ali Kadi rozstawiłem dwa namioty, jeden dla mnie — drugi większy w pobliżu zwierząt dla reszty załogi. Przez ten czas El Haszmi z Ellama przygotowawali kolację. Przed jedzeniem mężczyźni odprawili modły zwracając się przy tem frontem na południe. Przed udaniem się na spoczynek uzgodniłem z przewodnikiem plan oraz menu na dzień następny. Niebo zachmurzyło się, było parno. Na wszelki wypadek kazałem zapas drzewa na ogień wciągnąć do namiotu. Obudziłem się w nocy pod wpływem zimna, a nad ranem nie pomogło nawet włożenie na siebie wszystkich ubrań i spora ilość koniaku. Deszczu nie było. Rano, przy śniadaniu powiedział mi jeden z be-



KARAWANA W OAZIE

duinów że jestem głupi, bo właśnie wcale niema deszczu, tak, jak zapowiadałem. Zadowolony z pogody El Haszmi wpadł w trans opowiadania niestworzonych bzdur, w co sam święcie wierzył. Co chwila pytał czy jestem zadowolony i rozpoczynał łącać dalej. Aby przerwać mu natchnienie kazałem zwinąć namioty i zarządziłem odmarsz. W ostatniej chwili zjawiał się nieobecny całą noc Ali Kadi, oświadczając, że jest moim przyjacielem.

W południe zatrzymaliśmy się w kotlinie między dwoma wydmi, gdzie rozłożyliśmy obóz. Z prawdziwą przyjemnością zrzuciłem w namiocie kask i zająłem się wytrzępywaniem piasku z ubrania. Obiad składał się z menu mocno przypominającego potrawy z dnia poprzedniego. Cztery godziny postoju urozmaiciłem krótką drzemką i oswajaniem przemiłej „panterki”, która bardzo lubiła jeść z ręki. Przed odmarszem mieliśmy kino dźwiękowe w wersji hiszpańskiej, mianowicie Ali Kadi walczył zaciekle z jednym młodym beduinem. W pojedynku tym tłukli się głowami jak byki. Po zachodzie słońca rozbiliśmy namioty na zboczu wydmy. Zapadła noc, tym razem cudowna księżycowa. Około północy obudził mnie wrzask załogi i ryk wielbłądów. Zanim zdążyłem wyjść z namiotu: padło kilka strzałów. Stado 12 — 15 szakali wolno posuwało się po zboczu sąsiedniej wydmy, oświetlonej księżycem. Czempredziej zapaliliśmy pochodnie i dorzuciliśmy drzewa do ogniska. Przez chwilę szakale jakby się wahały czy mają rozpocząć atak czy odwrót. Zdecydowały się na atak, lecz po kilku strzałach z każdej strzelby rozpierchły się, pozostawiając na piasku 3 sztuki zabite. Cztery ranne szakale wyjąć podążyły za stadem, z czego dwie sztuki padły z ran w odległości 100 m. Reszta







NAMIOT W OAZIE

nocy spędziłem przy ognisku popijając kawę.

Nazajutrz, gdy rozpoczął się ruch w obozie, słońce było już bardzo wysoko. El Haszmi na dzieńdobry począł łąć, że nad ranem słyszał ryk lwa. Tym razem szybko minął trans bujania, gdy oświadczyłem że nawet widziałem lwa, ale w ogrodzie zoologicznym.

Po wyruszeniu El Haszmi opowiadał cuda, miałem wrażenie że to jego benefis bujania. Gdy zapytał dlaczego milczę, odpowiedziałem że w poniedziałki zwykle nie mówię, że dzień ten poświęcam rozmyślaniu. Narazie uwierzył, tylko coraz szybciej przebieirał palcami rąk, aż oświadczył że dziś jest niedziela. Byłbym zgubiony, gdyby nie kłamstwo z mej strony, że w Polsce właśnie mamy dziś poniedziałek — a

jako turysta szanuję oba poniedziałki. Skutek tego był świetny.

Wieczorem przypadał czas pojenia wielbłądów. Noc minęła spokojnie. Wydmy spotykane następnego dnia były coraz większe, pozatem piasek i piasek. Ciszę przerwał Ali Kadi okrzykiem: palmy! oaza El Ouet! Chciałem być tam już najprędzej, dość miałem tej pustki Sahary. Gdy wstępowaliśmy do oazy, poculiśmy miły chłód cienia. W podejrzanym „Hotelu” rzuciłem ze siebie zakurzony burnus i leżąc na prawdziwym łóżku, czekałem na kąpiel. Na dworze zapadał zmrok. Zapaliłem świecę przy łóżku. Usnąłem. Śniła mi się „panterka”. Gdy obudziłem się, za oknem pięknie świeciło słońko, a w lichtarzu przy łóżku znać było ślady wypalonej świecy. *Ocet.*

## MIEJSCE ŚWIĘTE ŚWIĘTYCH

Zwiedzaliśmy Teby. Dawne królewskie dostojne miasto Faraonów.

Złani potem od styczniowego skwaru szliśmy ku Karnakowi, olbrzymiej, największej w całym Egipcie ruinie świątyni.

Rozciągnięta na długości całego bodaj kilometra, majestatyczna nawet w swoim upadku, usiana olbrzymiami

złomami granitu i piaszkowca wyrastała ona przed nami z pustynnej, piaszczystej równiny.

Mijaliśmy wielkie, nawpół rozwalone pylony, czyli mury zasadnicze, oddzielające od siebie poszczególne części świątyni, przechodziliśmy przez sale, w których kolumny stały tak ciasno koło siebie, jak drzewa w gęstym lesie.



SFINKS

Musiąły stać tak blisko. Egipcjanie nie znali sklepień, ani wogóle sztuki

rozpinania szeroko dachów. Pułap w egipskiej świątyni stanowiły płyty kamienne, kładzione napłask, na szczytach kolumn. Gdyby kolumny stały rzadziej, straszliwy ciężar płyt połamałby je i wcisnął wdół.

Wszystkie ściany i kolumny od góry do dołu pokryte były hieroglifami, czyli pismem rysunkowem, rzeźbionem w kamieniu. Rzeźb wogóle wszędzie moc. Na małych wewnętrznych podwórkach stoją gęsto, czasem całemi szeregami, posągi ludzi, zwierząt i wszelkiego rodzaju potworów.

Stopniowo wnętrza zgęszczają się i wypełniają mrokiem. Już niema kolumn, tylko olbrzymie bloki granitowe, nakryte nisko takimiż wielkimi płytami. Zbliżamy się do najdosłowniejszego miejsca w całej świątyni, t. j. do t. zw. Miejsca Świętego Świętych.

Tutaj już zwykły śmiertelnik, a nawet kapłan niższego rzędu, nie miał dostępu. Nawet faraonowie, jeśli nie otrzymali kapłańskich święceń, byli tu dopuszczani tylko w czasie najbardziej



ŚWIĄTYNIA EGIPSKA



KRAJOBRAZ NAD NILEM

uroczystych świąt. Przebywać w stałej bezpośredniej styczności z bóstwem mieli prawo tylko najwyżsi arcykapłani.

Choć ołtarze były puste, a na podłodze trzeszczał pod stopami zanieśiony tu wiatrem pustyni piasek, niepodobna było oprzeć się uczuciu, że jesteśmy w miejscu, w którym przez długie setki, jeśli nie tysiące lat, ludzie rozmawiali z Bogiem, tak jak go sobie wtedy wyobrażali i rozumieli. Przejął nas dreszcz — bezwiednie, jak na komendę, choć jej nie było, zdjęliśmy czapki.

I nagle, niemal dokładnie w tej samej chwili, w której uczyniliśmy to, rozległ się śpiew.

Zmartwieliśmy wszyscy.

Śpiew? W tej zapomnianej, nawpół zburzonej świątyni? Złudzenie chyba.

Nie, nie złudzenie. Śpiew sączy się przez granitowe otwory, przyciszony nieco i jakby drżący, ale wyraźny zupełnie.

Zaczęliśmy się oglądać to na siebie, to z niepokojem na wejście, czy nie ukaże się w nim nagle chór kapłanów, strojnych w uroczyste szaty. Co to jest? Gdzie my jesteśmy? Co się z nami dzieje?

Śpiew trwa wciąż, to słabnie, to potężnieje. Trudno w nim uchwycić melodję, jest to raczej jakieś rytmiczne zawrodożenie. Jakby ktoś pod miarę taktu, na różne tony, przeciągle wymawiał literę a. Zupełnie jak w kościele.

Przeciagnałem rękę po czole. Było zroszone potem. Myślę że nie od samego tylko upału.

Trzeba się ruszyć, zobaczyć skąd ten głos płynie, przekonać się, czy możliwe jest, by w dwudziestym wieku mogli w świątyni Amona w Tebach śpiewać egipcyscy kapłani sprzed trzech, czy może czterech tysięcy lat. Tak, trzeba się ruszyć; tylko że nogi przywarły jakoś do ziemi.

Wreszcie któryś z nas ruszył w kierunku śpiewu. Obserwowałem go kiedy zniknął za granitowym głazem i widziałem, że minę miał bardzo niepewną.

Po chwili wrócił. Mina już zupełnie swobodna.

— To nie kapłani, — rzekł. — To robotnicy.

— Jacy robotnicy?

— Robotnicy, Arabowie, pracujący przy odkopywaniu świątyni. Chodźcie zobaczyć. Parę kroków.

— Uf!

Poszliśmy. Oczywiście, że tak było.

Ze też nam to nie przyszło do głowy!  
Robotnicy arabscy, kiedy pracują zbiorowo,  
zawsze śpiewają, wykonując  
w takt śpiewu swe ruchy. Wiedzieliśmy  
o tem wszyscy, ale wszyscyśmy o tem

zapomnieli tam, w miejscu Świętem  
Świętych.

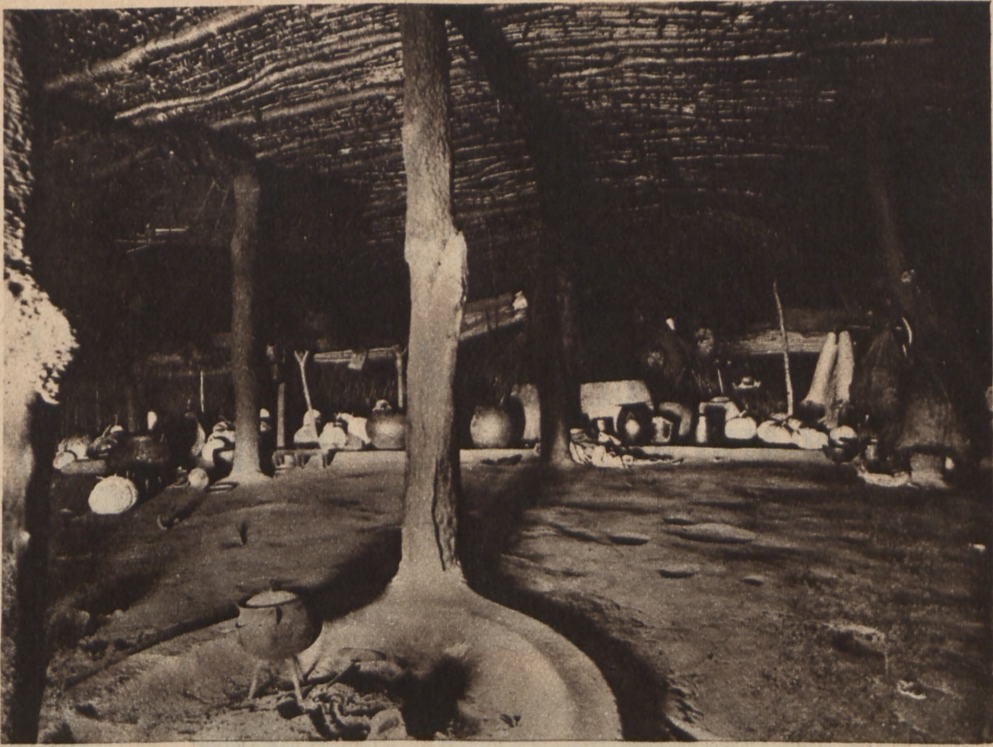
Ale zato ów śpiew kapłanów w świątyni  
Amona w Tebach pamiętać będą  
przez całe życie.

*K. Konarski*



Jak się zdjąć,  
to się zdjąć  
strojnie i bogato —  
siadły sobie w rząd  
murzynki przed chatą.

Uśmiechnięte, wystrojone,  
jak przy wielkiem święcie.  
Patrzcie na mnie,  
czarne panie —  
piękne będzie zdjęcie!



WNĘTRZE CHATY MURZYNSKIEJ



CHATY MURZYNSKIE

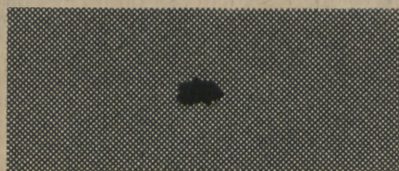
# CO NAM DAJE AFRYKA A CO MY DAJEMY AFRYCE

(W PRZECIĄGU JEDNEGO ROKU)

## WYWOZIMY Z POLSKI

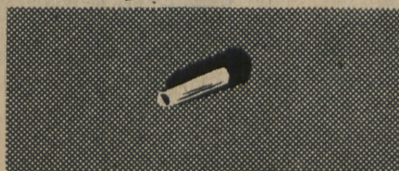
DO AFRYKI

WĘGIEL



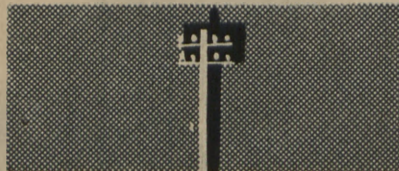
1965 997 q / 2% /

RURY  
ŻELAZNE



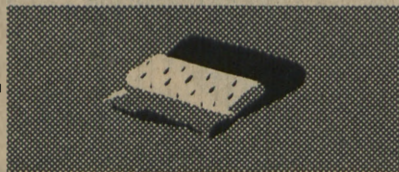
34 156 q / 9,7% /

SŁUPY  
TELEGR.  
I MASZT.



8 644 q / 5,7% /

TKANINY  
BAWEŁN.



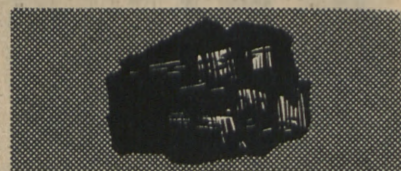
1 336 q / 21% /

NACZYNIA  
BLASZANE

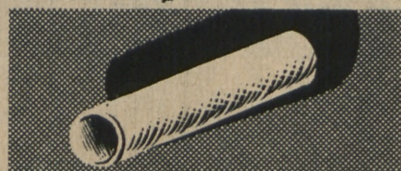


4 554 q / 47,1% /

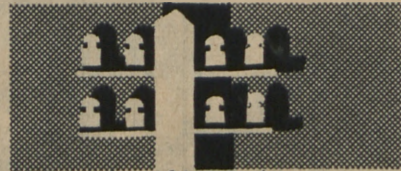
DO INNYCH CZ. ŚWIATA



96 833 689 q / 98% /



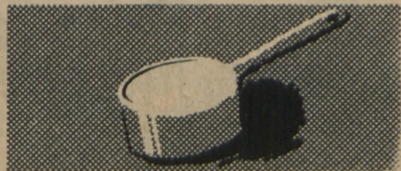
350 249 q / 90,3% /



143 462 q / 94,3% /



5 021 q / 49% /



5 101 q / 52,9% /

# PRZYWÓZ DO POLSKI

## Z AFRYKI

## Z INNYCH CZ. ŚWIATA

**RUDA  
ŻELAZNA**



20302,5 ton /14,1%/



116501,1 ton /85,9%/

**FOSFORYTY**



30641,1 ton /43,4%/



39995,8 ton /56,6%/

**BAWEŁNA  
SUROWA**



8719 ton /13,2%/



57280,4 ton /86,8%/

**WEŁNA  
SUROWA**



1652,2 ton /13,5%/



10616,5 ton /86,5%/

**KAKAO  
SUROWE**



4581,6 ton /69,9%/

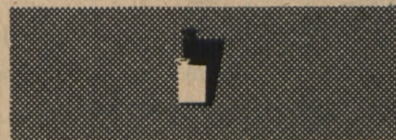


1975,9 ton /30,1%/

**NASIONA  
PALMOWE  
OLEISTE**

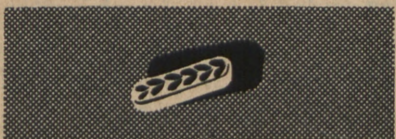


9950,2 ton /84,2%/

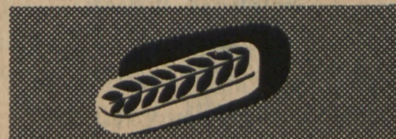


1865,4 ton /15,8%/

**DAKTYLE**



37,6 ton /37%/



64,1 ton /63%/

**INNE OWOCE  
POŁUDN.**



270,6 ton /5,5%/



4607,1 ton /94,5%/



## ROZDZIAŁ VII

w którym się okazuje kto się czego nauczył.

Mietek, Julek i Wacek siedzieli już w swojej chacie, tylko Breloczek nie wrócił jeszcze na kolację, czekano więc na niego i prowadzono gawędę.

Nikt nie poznałby teraz tych niedawnych mieszkańców Europy, uczniów takiej a takiej szkoły w tych opalonych, muskularnych chłopcach. Mieli na sobie tylko krótkie, harcerskie spodeńki, a piersi, ręce i nogi były obnażone i błyszcząły w słońcu kolorem brązu.

— Wyglądamy prawie jak rodowici malajczycy — powiedział naraz Julek.

— Tak, opaliliśmy się nieźle — potwierdził z uśmiechem Mietek. — No i wyrosliśmy, zmężnieli...

— Tylko, że rok nauki straciliśmy — westchnął Wacek. — Teraz trzeba będzie doganiać, albo siedzieć c klasę niżej od kolegów.

— Czy straciliśmy ten rok? — zamyslił się Julek. — Mnie się zdaje, że nie. Przedtem nie wiedziałem, poco się właściwie uczyć. Ot, tak... chodzili wszyscy do szkoły, chodziłem i ja. A teraz dopiero rozumiem, że dużo rzeczy może się przydać.

— Tak — bąknął Mietek. — Ale wszystkiego w szkole się nie dowiesz. Trzeba chodzić do rybaków, szewców, krawców, a nawet kucharzy, czy kucharek i uczyć się od nich. Pytać się, dowiadywać... „Jak to się robi, a jak tamto, a jak owo?”...

— Prawda! — zawołał Julek. — Jak budowałem studnię, to nie wiedziałem jak zrobić, żeby woda nie ściekała z górnych warstw. Dopiero później przypomniało mi się, że glina nie przepuszcza wody. Uczyłem się coprawda o tem w szkole, ale wcale nie przychodziło mi na myśl, że to może mi się przydać w takiej rzeczy, jak budowa studni. Uczyłem się też, że w tych i tych krajach jest bawełna, ale wcale nie myślałem, że może się ona tak bardzo przydać. Teraz będę całkiem inaczej się uczyć: naprawdę dla siebie, żeby wiedzieć, umieć, a nie na to, żeby odpowiedzieć i dostać stopień. Myślę więc, że nie straciłem tego roku. Przeciwnie, dużo nauczyłem się.

— I wiecie, czego jeszcze nauczyliśmy się? — dorzucił Mietek.

— No? no?

— Nauczyliśmy się cenić koleżeńskość, panować nad głodem i chłodem, nauczyliśmy się radzić sobie w trudnych sytuacjach i nie opuszczać rąk, co chyba jest najważniejsze.



— Ba, a ile botaniki zobaczyliśmy na własne oczy! — zaśmiał się Julek.

— I zoologii! — dorzucił Wacek.

— Mówisz o swoich węzach?

— Żebyś wiedział! Znam wszystkie jadowite i niejadowite węże całej okolicy. Wymyśliłem też nowy sposób łapania ich.

— Cóż to takiego?

— Coś w rodzaju długich obcęgow z widełkami.

— A ja nauczyłem się jeszcze... — zaczął Mietek.

— No, czego?..

— Że nie umiem robić regulacji rzeki...

— Ha, ha, ha! Nauczyłeś się, że nie umiesz? — zaśmiał się Wacek.

— I to czasem potrzebne.

Chłopcy zamysłili się. Ciepły, wilgotny wieczór podzwrotnikowy zapadał szybko. Słychać było terkozący głos nieznanymi chłopcom cwadów. Odzywały się też w gęstych zaroślach różne ptaki. Ciemniejące zarysy drzew przybierały dziwne kształty, a zapach kwiatów przesycił powietrze.

Może w tej chwili przyszły chłopcom na myśl inne wieczory. Wieczory, kiedy żaby rechoczą, w dalekiej wsi psy poszczekują, a bliżej pachnie jaśmin i bez.

Przyjemnie było czuć się wodzami wyspy, robić różne wynalazki i próby, ale przychodziło też wspomnienie o rodzicach, kolegach, nauczycielach...

— Co to Breloczka tak długo niema? — zaniepokoił się Mietek.

— Szykuje, zdaje się, jakąś tajemnicę — uśmiechnął się Julek.

— Pójdę po niego! — zerwał się Wacek, a Mietek uśmiechnął się i powiedział:

— Wacek też się wiele nauczył...

Wacek zapalił grubą, smolną gałąź od ogniska tlejącego niedaleko chaty i zanurzył się w ciemność. Mietek i Julek wyteżyli słuch, ale wkrótce kroki Wacka ucichły i słychać było tylko tajemnicze odgłosy podzwrotnikowej nocy.

— Pi, pi! Wacek nie ruszył owoców, czekając na Breloczka! — zauważył Julek.

Mietek kiwnął głową z uśmiechem i znowu zapadła cisza.

Tak upłynęła długa chwila, gdy nagle stanęła przed nimi jakaś ciemna postać.

— Kto to? — porwał się Julek.

— Mnong — odpowiedziała postać. — Mnong się dowiedział, że niema najmniejszego „tuana”, Wielkiego Lekarza Ran, czy to prawda?

— Tak.

— I niema drugiego tuana, Pogromcy Węzów?

— Tak, niema.

— A czy tuanowie nie boją się, że ich porwie w lesie zły, czarny człowiek — Szatan?

— Nie, my w djabłów nie wierzymy! — zaśmiał się Mietek. — Ale pójdziemy ich szukać, bo może ich napaść jakie zwierzę.

— Mnong zwoła wieś, czy dobrze? Bo byłaby straszna, straszna szkoda, gdyby zginął najmniejszy tuan Wielki Lekarz.

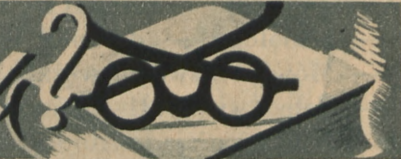
— Dobrze, Mnong. Zwołaj wieś — i Mietek dał Mnongowi swój gwizdek.

Mnong z dumą przyłożył go do ust i dał sygnał na zbiórkę. Za chwilę na ciemnym placu zaroily się jeszcze ciemniejsze sylwetki ludzkie.

(d. c. n.)

Jerzy Ostrowski

# Czy wiesz?



Abisynja jest naogół krajem górzystym. Prócz tego od południa osłania ją rozległy, bezwodny step (tak świetnie opisany przez Sienkiewicza w „Pustyni i w puszczy”), a od wschodu piaszczysta pustynia.

Te warunki terenowe, łącznie z podzwrotnikowym klimatem, zabójczym dla białego człowieka, są najlepszą jej obroną.

Jak się okazało, technika wojenna bardzo zawiodła pokładane w niej przez Włochów nadzieje. Zwycięsko wyszły z tej trudnej próby tylko samoloty i radjo, jako środki łączności pokonujące szybko i bez trudu bezdrożne przestrzenie.

Asharisami nazywają z turecka piechotę z tubylców afrykańskich, dowodzoną najczęściej przez oficerów europejczyków. Kawalerzyści, zwłaszcza w kolonjach francuskich, zwą się spahisami. Włosi w wojnie z Abisynją posługują się tukiemi oddziałami askarisów, bo sami trudno znoszą klimat afrykański.

Abisyńczycy są chrześcijanami, choć dość dużo jest także mahometan. Abisyńczycy chrześcijanie należą do kościoła koptyjskiego, czyli staroegipskiego, zwanego także jakobickim, albo monofizyckim.

Chrześcijaństwo przyjęli już bardzo dawno, więcej niż pół tysiąca lat wcześniej, niż Polacy.

Abisynja jest ojczyzną kawy. Po dzień dzisiejszy rośnie ona tam jako dziki krzew. Nazwa kawy pochodzi od nazwy abisyńskiej prowincji Kaffy. W tej to Kaffie i w Harrarze są duże plantacje dostarczające znakomitych gatunków kawy. Z Abisynji zapoznali się z kawą Arabowie i zaczęli u siebie też hodować wonną „mokkę”. Od nich zasmakowali w kawie Turcy, a ci zaś na-

uczyli używania tego napoju inne ludy europejskie.

Do rozpowszechnienia kawy w Europie przyczyniła się znacznie wycieczka bitwa wojsk polskich pod Wiedniem. W obozie tureckim zdobyto wielkie zapasy kawy, które w nagrodę otrzymał Polak Kulczycki. Założył on w Wiedniu pierwszą kawiarnię, lecz zakład nie miał zbyt wielkiego powodzenia. Po jakimś czasie zaczął robić „białą kawę” dodając mleka i wtedy dopiero uzyskał niebywały sukces swoim napojem.

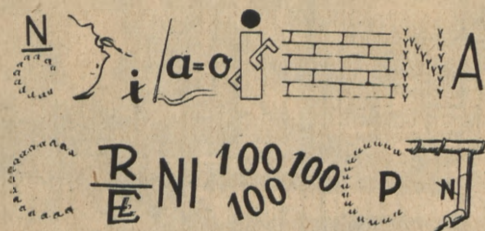
Dziś zawędrowała kawa niemal wszędzie. Największe plantacje są w Brazylii w Ameryce i na Cejlonie w Indjach.

Prawie wszystkie charakterystyczne dla Afryki zwierzęta można napotkać w Abisynji, słonie, hipopotamy, nosorożce, bawoły i antylopy, lwy, hieny, pawiany; w wodach wcale nie trudno o krokodyle. Wśród ptaków żyje tam osobliwy kształtem orzeł kusy, zawdzięczający swą nazwę temu, że brak mu ogona. Wcale mu to nie przeszkadza a pewnie nawet pomaga, bo jest nadzwyczaj zręcznym akrobatą powietrznym.

Godłem państwowem Abisynji jest „Lew Judy”, lew z koroną na głowie i berłem królewskim w łapie. Wojownicy abisyńscy jako ozdobę noszą grzywy upolowanych przez siebie lwów, a oficerowie regularnej armii mają naramienniki i denka czapek obszyte wypustką futrzaną z lwiej grzywy. Zwyczaj ten bardzo przypomina naszych „husarzy” noszących na zbrojach skóry dzikich zwierząt. Współczesne mundury wojsk europejskich też bardzo często wykazują ślady tego starego zwyczaju w postaci kit, pióropuszków, niedźwiedziej czap „bermyc” np. pułków gwardji angielskich a nawet orlego pióra u czapek i kapeluszy naszych „podhalan”.

# NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

## REBUS



### ZAGADKA 1

Niegościnna ziemia —  
wbok, czy wtył, czy wprzód,  
wody na niej niema,  
zato piasku wbród.

### ZAGADKA 2

Nielada jaszczurka,  
w nurty daje nurka.

### ZAGADKA 3

Stoi koń u wodopoju,  
dziwny koń w pasiastym stroju.

### ZAGADKA 4

Ptak — niebożę  
fruć nie może,  
ale można na tym ptaku  
jeździć, niby na rumaku.

### ZAGADKA 5

W Afryce kilim  
malowany biało,  
a na tym kilimie  
latem i w zimie  
śniegu i lodu niemało.

## SZARADA 1

*Pierwsza* — zaimek (litera dwie),  
że wskazujący, każdy już wie.  
*Druga* — niedługa (litera dwie),  
że to przyimek, każdy już wie.  
*Całość* — jezioro, z którego płynie  
błękitna rzeka w górskiej dolinie.

## SZARADA 2

*Pierwsza - trzecia* rano z mlekiem  
smaczna na śniadanie.  
*Pierwsza - druga* za człowiekiem  
idzie w ślad  
przez cały świat  
za złe postępowanie.  
*Druga - czwarta* często sroga,  
gdy zadana z ręki wroga.  
Kiedy *druga* z *trzecią* chodzi,  
tworzą miasto obok Łodzi.  
*Całość* przez pustynię obszary  
ludzi przewozi i towary.

## ROZWIĄZANIA Z N-RU 16/17:

Rebus 1 — najweselsze nasze święto.  
2 — kolenda. 3 — Trzej Królowie.  
Zadanie 1 — choinka. Janka ma 2 m.,  
a Władka 1,5 m. wysokości. 2 — 12  
lichtarzy i 24 świeczki. Zagadka 1 —  
lód. 2 — piec, piec, pień. 3 — krzesło.  
Szarada 1 — grudzień. 2 — sanki.  
3 — kolenda. Zagadka 4 — nóżka.  
5 — osika.

### WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	
miesięcznie . . . . .	zł. 1.10	miesięcznie . . . . .	zł. —.84
półrocznie . . . . .	„ 5.—	półrocznie . . . . .	„ 4.—
rocznie . . . . .	„ 10.—	rocznie . . . . .	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.  
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —  
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY  
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIĄŻEK.  
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

ZWALONY POSĄG RAMZESA II.

